

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Na straży Wisły i Pomorza Siedemsetlecie Torunia

Fides et constantia per ignem probata.
(Napis na talarze toruńskim z roku 1630).

KOLEBKA NADWISŁAŃSKIEGO GRODU

S kierowana czujnie ku brzegowi bałtyckiemu uwaga społeczeństwa polskiego nie może pominąć przypadających w roku bieżącym uroczystości 700 lecia stolicy, drogiego nam Pomorza — Torunia. Niech więc choć pokrótce przypomną się dzieje tego nadwiślańskiego grodu, tak serdecznie i wiernie od wieków związanego z dolą i niedolą Rzeczypospolitej Polskiej. Niech więc choć w ten sposób danem nam będzie złożyć hołd siedmiu bohaterskim wiekom historii miejsca narodzin wielkiego Kopernika.

Siedemset lat. Czy naprawdę tylko tyle? Niestety, dokumenty historyczne tylko takiej ilości lat wystawić mogą do wody, mimo iż wiele przemawia za tem że po wyschnięciu tak zwanego „zastolska toruńskiego” (jeziro polodowcowe), po rozdzieleniu przez Pra - Wisłę wód pomiędzy jej cory: Wisłę, Łabę i Odre, na miejscu, gdzie dziś strzeliły ku niebu wieżycy kościołów Torunia, grubo przed datą narodzenia tego miasta płonęły ogniska rybacko - myśliwskie, które z biegiem czasu dały patrymonjalne nazwy wielu późniejszym miejscom w Pomorzu, nie wyłączając prawdopodobnie i Torunia.

Niemniej faktem jest, że wiek XI a przedewszystkiem XII zastał pod Toruniem skupiszczą i osady lechicko - polskie, w obronie których w latach 1219—1222 podjęło rycerstwo polskie historyczną wyprawę przeciw Prusakom.

ZAKON KRZYŻAKÓW NA ZIEMI POLSKO - TORUŃSKIEJ.

Niebaczny krok księcia Konrada Mazowieckiego ściąga nad Wisłę Zakon Krzyżacki (1228), który najpierw na lewym a z kolei na prawym brzegu polskiej rzeki wznosi pierwsze warownie zaczepno - odporne (Folsag, Nieszawka). Pierwsze fundamenty, pod nieistniejącą dziś krzyżacką twierdzę toruńską kładzie mistrz Zakonu Herman Balk, przyjmując dla niej nazwę starej osady polskiej, posiadającej już wówczas swój własny murowany kościół. Obok Malborka jest zamek toruński najsilniejszą twierdzą krzyżacką a historyczny początek miasta Torunia oceniają rokiem 1233, w którym „Stary Toruń” otrzymuje przywilej prawa chełmińskiego (Kulmer Handfeste).

W murach miasta powstaje rychło szereg okazałych budowli, organizują się zręby mieszczaństwa, napływają zakonnicy, kupcy, rzemieślnicy, narastają kramy, magazyny, strzela ku niebu wieżycy pierwszego ratusza, wznoszą się mury obronne itd. Niepoczesną rolę wśród zakonów odgrywają, wcześniej przybyli do Torunia Dominikanie, w

których celach już za pierwszych czasów krzyżackich gromadzą się ojcowie narodowości polskiej, których rola nie mała zaważyła na dziejach kultury polskiej tego miasta.

Pod koniec XIV w. posiada Toruń 10 kościołów, (z których trzy dotrwały naszych czasów) i około 12 tysięcy mieszkańców.

Ruchliwe miasto śmiało wybija sobie drogę handlową przez Wisłę i Bug do Włodzimierza Wołyńskiego, przez Sandomierz do Krakowa, Lwowa, na Węgry, a przez Poznań do Wrocławia, będąc równocześnie łącznikiem pomiędzy Polską a miastami Hanzji, w skład której z poważnym zadaniem wchodzi Toruń już w r. 1280. Za pośrednictwem Torunia uzyskała Polska kontakt gospodarczy z Flandrją, Anglią, Skandynawią a nawet Portugalją. Karpackie cisy dzięki stosunkom handlowym Torunia zyskują łatwy zbytny na rynku angielskim, jako doskonały materiał do łuków.

Zaczynają się, dla coraz bardziej handlowo rozwijającego się miasta, dni odwiedzin królów polskich. I tak w związku z zawarciem pokoju polsko - krzyżackiego w Kaliszu (1334) bawi przez pięć dni w Toruniu król Kazimierz Wielki, podejmowany przez mistrza Zakonu Königa i mieszczaństwo toruńskie nader uroczyście. Echa tej królewskiej wizyty odbiły się nie tylko w kronikach, ale również w przebogaty legendach.

Na rycerską sławę Torunia zanotować należy, że gdy w r. 1361 król duński Waldemar III chciał na hanzeatów nałożyć cła, wówczas Jan Kordelicz, rajca toruński dowodził posiłkami tego miasta w wojnie hanzeatów z królem duńskim, zaś rajca toruński Russe zajmuje w walce o prawa Hanzji nad Bałtykiem miasto Sztokholm. W Hanzji po zostaje Toruń aż do początku wieku XVII-go.

Handlowo silny i do Polski grawitujący Toruń staje się solą w oku Zakonu. Dotychczasowy, względnie poprawny stosunek, z powodu ucisku podatkowego znajduje się pod znakiem zapytania, do czego w niemałej mierze przyczynia się klęska Zakonu pod Grunwaldem, po której Toruń poddał się królowi Jagielle. Uroczystości pokojowe na toruńskiej Kępie Bazarowej (1411) zyskały serca toruńczyków dla Polski.

Chcąc jeszcze bardziej wzmocnić swe wpływy w Toruniu, chcąc bezpośrednio czuć nad ruchami krzyżackimi buduje Jagiełło po pokoju brzeskim naprzeciw Torunia zamek Dybówo (1443), o charakterze strażnicy celnej, z której królowie polscy niejednokrotnie odbywają uroczyste wjazdy do miasta.

Napięcie polityczne i gospodarcze pomiędzy Zakonem a Toruniem rośnie z roku na rok, doprowadzając w ostateczności szlachtę chełmińską do zorganizowania przeciwkrzyżackiego „Związku Jaszczurczego”, który siłą dalszych

wypadków łączy pod swemi sztandarami 50 miast z Toruniem na czele, przyjmując nazwę „Związku Pruskiego”.

Krzyżacy, doceniając znaczenie tej organizacji całą siłą dążą do jej złamania i zniszczenia. Litanja niecznych czynów, niegodnych rycerzy chrześcijańskich, jest wprost odstrasająca. Mimo to Związek nie upada na siłach a przeciwnie, gdy w r. 1451 wjeżdża do Torunia król Kazimierz Jagiellończyk, Toruńczycy z całą ufnością uciekają się pod opiekę Polski.

O pomoc tę zwracają się oficjalnie w r. 1452: delegat Związku Gabriel Bażeński i burmistrz Chełmna, a gdy „Związek Pruski” został przez Zakon rozwiązany, wybucha w Toruniu przeciw Krzyżakom pierwszy jawny bunt. Toruńczycy, wspomogani przez związkowców uderzają na mennicę, otaczają zamek. Bunt dochodzi do najwyższego napięcia w r. 1454, w którym Toruń wypowiada wojnę Zakonowi, a po skutecznym ataku na zamek krzyżacki burzy to siedlisko doszczętnie. Tak oto legła warownia, którą Krzyżacy, jako jedną z pierwszych założyli na ziemi polskiej.

POD OPIEKĄ RZECZYPOSPOLITEJ.

W myśl przyrzeczeń danych „Związkowi Pruskiemu” Polska wypowiada wojnę Zakonowi a dnia 28 maja 1454 r. król wjeżdża do Torunia, by obecnością swoją przypieczętować swe obietnice. Wojska polskie otaczają Toruń stałą opieką, a król w nagrodę wierności obdarza miasto kilkunastu wsiami i przywilejami „wolnego i bezpośredniego miasta królewskiego w Prusiech Wschodnich”.

To doprowadza Zakon do wściekłości, której ujście daje w barbarzyńskim spaleniu jednego z przedmieść Torunia. Toruńczycy nie pozostają dłużni, i puszczają z dymem krzyżacki zamek w Papowie Toruńskim. Mimo jednak zgiełku walki, mimo łun i pożarów, mimo chorób, które często nawiedzają gród nadwiślański, handel jego rozwija się nader pomyślnie, a przystanie Wisły przyjmują setki statków, berlinek, tratw, ładownych bogatym towarem.

TORUŃ PRZY POLSCIE.

W roku 1466 w sali „Dworu Artusa” (gilda toruńska) zawarty zostaje drugi pokój toruński. Mistrz krzyżacki, w stroju żebraczym zaprzysięga przed legatem papieskim i królem Kazimierzem wieczysty pokój. Mocą traktatu: Pomorze, Malborg, Ziemia Chełmińska, Ziemia Michałowska, Ziemia Lubawska, i biskupstwo warmińskie zostały przez Zakon oddane Polsce. Żalować tylko należy że z paszczy krzyżackiej nie wyrwano również Prus Książęcych a krzyżaków nie dyslokowano na południowo-wschodnie granice Polski, dając im możliwość walki z Turkami i Tatarami z tem zastrzeżeniem, że szeregi Zakonu stoją otworem również dla rycerzy polskich.

Trzynastoletnia wojna z Zakonem, zakończona w jego kolebce zarejestrowała: 1800 spalonych wsi, 1000 zburzonych kościołów, nie licząc 300 tysięcy ludzi. A od tego pokoju leczy Toruń swe wojenne rany przez 161 lat tak dokładnie, że pod koniec XV wieku dochodzi do nienotowanego w historii tego miasta rozkwitu. Rozszerza się handel, budzi nauka, rosą jak z pod ziemi nowe budowle. Tu w roku 1473 przychodzi na świat chluba nauki polskiej największy syn Torunia Mikołaj Kopernik. Do Torunia zjeżdża w r. 1494 król Jan Olbracht, by zacieśnić węzły przyjaźni a równocześnie obdarzyć miasto nowymi przywilejami.

Wieczysty pokój, jaki poprzysięgli krzyżacy został jednak przez nich zerwany. Mistrz krzyżacki, książę Fryderyk Saski odmawia złożenia należnego królowi polskiemu hołdu. Prowokacja ta zmusza króla Olbrachta do przygotowania przeciw zdrajcy wyprawy. W tym celu przybywa (1501) do Torunia a zmęczone serce królewskie przestaje nagle bić w czasie narad w komnacie królewskiej, mieszczącej się w ratuszu toruńskim. Ciało króla przewieziono do Krakowa, serce królewskie spoczęło w kościele toruńskim św. Jana.

W OPARACH REFORMATORSKICH

Historja się toczy. W pierwszej połowie XVI wieku handel toruński nieco podupada. Zmieniają się również stosunki wewnętrzne miasta. Nad Toruniem zwisają pierwsze opary reformatorskich nowinek. Nie rozpędza ich przybycie króla Zygmunta Starego. Przez lat 200 ruch reformacyjny znajduje w Toruniu dogodną przystań, nad której zdemontowaniem pracują usilnie, sprowadzeni do Torunia w r. 1594, Jezuici.

Mimo jednak tych walk społeczno-religijnych liczy Toruń na początku XVII w. ponad 30 tysięcy mieszkańców. Nie przeszkodziła temu rozwojowi szalejąca na zachodzie trzydziestoletnia wojna. Dopiero w r. 1629 zjawia się pod murami miasta armja szwedzkiego generała Wrangla, której ataki Toruńczycy odpierają z pełnym poświęceniem. Na pamiątkę zwycięstwa bije toruńska mennica pamiątkowe talary z napisem: „Fides et constantia per ignem probata” (Wierność i stałość wypróbowane przez ogień) 1630. Pod tem hasłem przybijają toruńczycy w r. 1632 króla Władysława IV.

Fale wojen religijnych szaleją jednak dalej a tym razem nie omijają i Torunia. Wspomagani przez desydyntów polskich Szwedzi podsuwają się po raz drugi pod mury tego miasta a król szwedzki Karol X. Gustaw, zalawszy swemi wojskami całą niemal Polskę, łatwo otwiera sobie bramy nadwiślańskiego grodu. Stary zamek dybowski, dźwigający na swych barkach kilka wieków, wysadzony został w powietrze. Pod murami zajętego przez Szwedów

Torunia zjawia się Sapiaha, Czarnecki a wreszcie król Jan Kazimierz, który zmusza wrogów do opuszczenia miasta (1659). Toruń katolicki i polski odżywa. W ręce jego wracają zabytki i skarby, które zabrała niedawno przemoc szwedzka - protestancka. W r. 1677 bawi w Toruniu wraz z rodziną król Jan III Sobieski.

Idzie wiek XVIII, a z nim fale nieszczęść i dla Polski i dla Torunia. Na terenie Europy szaleje wojna północna. Mury miasta przygotowują się do obrony. W tym też celu przybywa król polski August II. Niestety mury okazały się zbyt słabymi, by sprostać armii szwedzkiej Karola XII, który wkroczył do Torunia rozrzuca fortyfikacje, obciąża mieszkańców ciężkimi kontrybucjami, rabuje skarby — niszczy wszystko z sekciarską zawziętością. I odtąd idą smutne, ciężkie dni — przemarsz wojsk saskich, polskich, szwedzkich, rosyjskich. Toruń nie może chwycić oddechu.

W zubożałym mieście odbywa się zjazd króla Augusta II z carem Piotrem Wielkim, tu osiada na czas dłuższy carowa i carewicz Aleksy. To wszystko dusi Toruń. A nadomiar przychodzą zamieszki wewnętrzne, a wśród nich tragiczne wystąpienie przeciw Jezuitom, zakończone i bolesnym rozdzwiekiem i licznymi ofiarami.

Nie ominęła murów Torunia i wojna siedmioletnia, w której zresztą Polska nie brała bezpośredniego udziału. — I znów przemarsze wojsk. Rosjanie przez cztery lata gospodarzą w Toruniu, jak we własnym kraju (1758—1762). Pod presją Rosji przystępuje Toruń do konfederacji desydentów (1767), co sprowadza pod mury miasta konfederatów barskich.

Nadchodzą chwile smutne. Pierwszy rozbiór Polski. Toruniowi odcięto wszystkie dobra i korzystanie z ich dochodów. Miasto wlecze za sobą ciężkie dni nędzy, liczba mieszkańców spada do 5570. Mimo to Toruń pozostaje wierny Polsce. Po drugim rozbiórce już tylko przemoc otwiera wrogowi bramy miasta.

GDY ZASZUMIAŁY ORŁY NAPOLEONA.

Pod butem pruskim stracił Toruń swą samodzielność i rozmach. Zszedł do roli małego miasteczka, oziębł się patriotyzm polski. Gdy w roku 1794 nadciągnęły pod mury toruńskie wojska Madalińskiego toruńczycy stanęli wyraźnie po stronie Prusaków. Tak samo przyjęto armię Dąbrowskiego, mimo iż ziemiaństwo pomorskie wyraźnie stanęło po stronie powstania kościuszkowskiego.

W nagrodę za tę „lojalność“ król pruski Fryderyk Wilhelm II. odebrał Toruniowi wszelkie przywileje, obdarzając go w zamian liczną załogą i pruskiemi koszarami, które nadały miastu charakter garnizonowy.

Od zachodu ciągną orły napoleońskie. Już w roku 1806, po bitwie pod Jeną, dzięki pomocy szyprów toruńskich wkraczają do miasta armie gen. Ney'a i gen. Dąbrowskiego. Pokój w Tyłży włacza Toruń w granice Księstwa Warszawskiego, który nawet przez pewien czas (kwiecień 1809) staje się siedzibą jego rządu. Toruń otrzymuje kodeks na poleoński i prezydenta municipalności. W Toruniu kwateruje w przemarszu do Rosji cesarz Napoleon, a już w grudniu tegoż roku pojawiają się nad Wisłą resztki cofającej się armii cesarza Francuzów. Miasto wpada w ręce Rosjan, którzy pozostają w niem do roku 1815.

POD WŁADZĄ BERLINA.

Kongres Wiedeński oddaje miasto w ręce Prusaków, a Wilhelm II zjeżdża do

Torunia dla odebrania holdu i celem przyłączenia go, wbrew uchwałom Kongresu, do Prus Zachodnich. Niewola całą swą siłę nakłada na Pomorze swe łańcuchy. Ale zahartowana dzielnica nie upada. Przeciwnie; pracuje, oganizuje się, podsyca życie narodowe, gospodarcze, buduje w r. 1853 pomnik swemu synowi Kopernikowi, łączy brzegi Wisły mostem żelaznym (1872) a gdy w r. 1894 Wilhelm II na rynku toruńskim wy

głasza sławną mowę germanizatorską, Toruń wierzy, że wyższe są wyroki sprawiedliwości, niż słowa potomka wiarołomnych Krzyżaków.

NA OJCZYZNY LONO...

Wojna światowa. Ważą się losy narodów. Dzień 18 stycznia jest dla Torunia dniem radości, triumfu i nagrody. Pruskie żołdactwo opuszcza Pomorze a już dnia 21 stycznia witają Toruńczycy

armię błękitnego generała Hallera.

W nagrodę za wierność zostaje Toruń stolicą drogiego klejnotu Rzeczypospolitej — Pomorza.

Dzisiaj oczy i serce nasze zwracają się ku temu miastu, składając hold Jego Wierności i Stałości przez ogień wypróbowanym.

J. Kan.

—0—

O chłopie, co lotem wieczność gwiazd potraçał

„A to się może tylko w Polsce zdarzyć, iż — jak dwie brzeźne klamry lat ty-siąca —
Jest król, co z chaty idzie świat podwa-żyć,
Jest chłop, co lotem wieczność gwiazd potraçał.“

Trudno, naprawdę, o wspanialszą syntezę poetycką polskiej historii na przestrzeni tysiąca lat, a równocześnie trudno o bardziej trafne określenie podstaw kasprowiczowskiej poezji, co z ukochania ziemi źródło swe wzięwszy, ku niebu na skrzydłach tęsknoty ludzkiej ulata. Autor przytoczonego wiersza, zgasły niedawno piewca Warszawy, Artur Opman, — wyśpiewał w nim nie tylko tonem dumy narodowej i triumfu brzmiące „Magnificat“ nad grobem poety Tatr i Podhala, ale też uchwycił w kapitalnym skrócie wizerunek twórcy Jana Kasprowicza.

Cóż bowiem stanowi istotę poezji kasprowiczowskiej, jeżeli nie ów organiczny związek między niebem i ziemią, między rzeczywistością zmysłową i duchową, — który znalazł swój wyraz w gorącym umiłowaniu gleby ojczyzny i równoczesnej tęsknocie za ojczyzną duszy — absolutem?

Zrozumienie tego związku jest kluczem do poezji Kasprowicza, pozwala nam zbliżyć się do niego jako do poety i, co ważniejsze, jako do człowieka.

Na to ostatnie zwłaszcza położyć należy szczególny nacisk, skoro doba współczesna, przeżywająca kryzys we wszystkich niemal dziedzinach życia, oddzieliła ludzi od siebie przepaścią nieufności. Twórczość bowiem Kasprowicza, pomijając jej stronę formalną, która może u niektórych, zwłaszcza jeżeli idzie o okres ostatni, budzić zastrzeżenia, — jest przede wszystkim ewangelją prawd wiecznych i nieodmiennych, decydujących o sensie istnienia człowieka. Najważniejszą z nich jest niewątpliwie

Prawda o życiu i śmierci.

Już w zaraniu swej twórczości szukał Kasprowicz dróg, które doprowadziłyby go do jej poznania. Śmierć bowiem była dlań pierwszym nadprzepasnym stopniem, którego przekroczenie równało się rozwiązaniu zagadki bytu nie tylko jednostkowego, ale i narodowego.

Jakżeż każdemu, kto odczuł bolesny lęk przed tajemnicą śmierci, bliskie są z dna duszy buntom rozpaczliwym wydarciom słów kasprowiczowskich „Hymnów“. O ileż bliższy znowu stanie się dla nas poeta jako człowiek, gdy ogarnie nas żarem swego prometejskiego uczucia, które — podobnie jak Mickiewiczowi — każe mu wadzić się z Bogiem, nie tyle jednak o „rząd dusz“, ile o doczesną rzeczywistość, o nędzę duchową i materjalną ubogiego człowieka, pchającą go w odmęt grzechu. Zwraca się Kasprowicz przeciw Bogu nie jako cierpiący za miliony, ale jako jeden z synów szarej rzeczywistości, jako „jeden z milionów“. Nie prosi Boga, by wznosił go

do Siebie i podzielił z poetą swoją władzę, ale wzywa go, by zrzucił z Siebie „nietykalne blaski“ i zszedł z nim między grzesznych i cierpiących“. Stań się — mówił — tak lichy, jak ja, i skulony, i doczesności okryty łachmanem, wlec się nieszczęsnym łańcem, wlec się ze mną na samotne pola“.

Wiersz „Idą baraby“, pochodzący z ostatniego okresu twórczości, świadczy że samowiedza społeczna poety, mimo pozornego zacieśnienia kręgu zainteresowań światowych, — pozostała nadal jednym ze źródeł jego prometejskich u niesień, wypływających z troski o „doczesną rzeczywistość“ człowieka.

Jak bowiem trafnie zauważył Wasilewski, Kasprowicz w drgnieniach swojej duszy nie jest od siebie zależny; to nie esteta szukający tanich wzruszeń, smakosz coraz rzadszych uciech serca; on sercem pracuje na codzien w usługach ducha ludzkiego, który ma w nim swój organ. Stąd też Kasprowicza nie można nazwać społecznym w tem znaczeniu, aby załatwiał zagadnienia życia zbiorowego danego czasu lub miejsca, — ale jest ludzki, tak ludzki, że aż nieosobisty. Jego „ja“ — to przychodzenie do głosu duszy ludzkiej — nigdy mowa osobista.

I ta właśnie samowiedza społeczna, pomnożona o cały ciężar metafizycznej zagadki śmierci, jest źródłem konfliktów z Bogiem i z samym sobą.

Ich rozwiązanie dokonało się drogą tragicznych zmagani wewnętrznych. Kasprowicz świadomie odgraniczył się od wypadków chwili bieżącej, od doraźności życia codziennego, stanął ponad „prawdą szczegółów“, aby zdobyć prawdę największą i najważniejszą.

Zacieśnienie węzłów z przyrodą Tatr, które stały się jego „światem“ (co nawet podkreślił w tytule ostatniego zbioru swoich wierszy) pozwoliło poecie na uświadomienie sobie swego stosunku do podstawowych zagadnień bytu; w przyrodzie znalazł odbicie tych procesów i potwierdzenie tych idei, które były w nim samym.

Należy bowiem podkreślić, że Kasprowicz, odczuwający przyrodę jak człowiek pierwotny: wszystkimi zmysłami i nadzmysłami — nigdy nie poddał się jej prawom całkowicie, nie zatarał własnej, wielowiekowa kultura nabytej świadomości torem pędu biologicznego; będąc sam częścią przyrody, posiada świat własny, od reszty natury różny, mający własne prawa.

I dzięki tej autonomii nie zatracił się w niej, jak inni, ale potrafił wzniesić nadbudowę, która przyrodę uzupełnia, a nawet się jej przeciwstawia. Dowodem tego jest istotne ujęcie przemian, zachodzących w świecie przyrody. Oto przykład:

„...Chodzę i patrzę i słucham —
O jakież tu miło! jak miło! —
I śledzę, czy coś się tu może
Od kiedys nie zmieniło?“

Nic, jeno w chacie przydrożnej
Zmarł mój przyjaciel leciwy

I uschły dwie wierzby przy drodze,
Strażniczki wiosennej niwy“.

Śmierć, jak widać, stała się zjawiskiem czysto zewnętrznym, które postrzegane jako zmiana w przyrodzie, — prawem kontrastu potwierdza istnienie, nieskończone trwanie życia.

Wbrew zatem narzucającej się zmysłom nietrwałości i zmienności zjawisk, będących źródłem cierpienia i strachu przed śmiercią, dochodzi Kasprowicz do afirmacji życia. W konsekwencji takiego stanowiska nastąpiło przełamanie idei bólu, pojętego jako pierwiastek destrukcyjny w życiu i podniesienie go do poziomu zasady tworzącej.

Zbliżenie zatem do przyrody pozwoliło poecie odnaleźć tę prawdę, która — potwierdzając wartość życia doczesnego w każdym jego momencie, wiąże je równocześnie z życiem kosmicznym i w ten sposób legitymuje i uzasadnia sens istnienia ludzkiego.

I jeszcze jedno.

Instynkt biologiczny poety w zespoleniu z przyrodą przemówił w nim głosem tęsknoty nie tylko za nieśmiertelnością, ale i za Tym, który „nieśmiertelność tworzy“. Nie wystarczyło mu znajdujące swe odbicie w przyrodzie wyobrażenie jedności duszy jednostkowej z duszą wszechświata, będącego wieczną treścią przy równoczesnej odmienności form.

Na podłożu tęsknoty za nieśmiertelnością zrodziła się w Kasprowiczu chęć zdobycia pewności, że jedność ta jest czemś rzeczywistym i nieskończeniem trwałą.

Dojrzenie w przyrodzie Boga, jako początku i przyczyny istnienia wszechrzeczy, jako źródła harmonii i wieczystej mądrości, panującej w wszechświecie, stało się dlań tak gorąco pożądanym źródłem wiary.

I odtąd konkretne poczucie aktualnej obecności Boga w każdym momencie, w każdej rzeczy — staje się jednym z najbardziej podstawowych rysów twórczości Kasprowicza. W pokorze i skromności, pomnożonej o całą dumę ze spełnionego obowiązku, stwierdza:

„Przestałem wadzić się z Bogiem,
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą niema już rady.“

A w innym wierszu Księgi Ubogich swoje zwady z Bogiem usprawiedliwia następująco:

„...dzisiaj to widzę,
W patrzeniu już dosyć biegły,
Czego w zamęcie walki
Żrenice me nie dostrzegły“

Odtąd też religijność Kasprowicza cechuje ton niewzruszonej wiary, równoznacznej z ostatecznym przewyciężeniem wątpliwości i poddaniem się woli Opatrzności:

„W głąb idę może ciemną,
A może nadzwyczaj jasną...
Po co się pytać, czy gwiazdy mi zgasną, —
Ty, czuje, dążysz ze mną.“

Taką wiarę nazywa poeta „ślepotą oczu i jasnowidzeniem“. Ona jest źródłem moralności i zasad etycznych,

które głosi jego poezja. Przy pomocy wiary przezycieżył w sobie Kaspro-wicz poglądy, że prawem rozwoju jest walka o byt i zgodnie z tem wprowadza wolność i twórczość w miejsce konieczności. W tem też znaczeniu rozumieć należy słowa „Księgi Ubogich“:

„Swobodna jest dusza moja,
Nikt jej skrepić nie zdoła,
Miłuje ona swe skrzydła,
Cześć żywi dla swego czoła.

Nie władnie tu żadna potęga
Nad jej wieczorem, czy ranem.
Sama jest sobie monarcha,
Sama jest sobie kapłanem.”

Zawarł w nich poeta niemal cały swój dorobek duchowy, który charakteryzuje poczucie siły i odporności wobec narzucającej się chwili. Uznaje w życiu równorzędność dobra i zła. Ale nawet w chwili najsroźszych udźreżeń stawia nakaz oporu — w chwili największego zwątpienia i relatywizmu zdobywa się na myśl, że „może zło się przesili“.

Wartość takiej postawy potwierdziła próba wielkiej wojny. W jej tunie zarysował się wyraźnie profil duchowy

Kaspro-wicza, poety dbającego w chwilach dla narodu najcięższych o skarby najcenniejsze: duchowe.

Tę właśnie wartość uwyraźnił Leopold Staff, mówiąc o Kaspro-wiczu.

„Runęła góra, runął dąb —
Dąb twardy, góra wzniosła!
O świat się pogłębiła głąb,
A wzyń wyżyna wzrosła.
Zawarły się spiżowe drzewa,
Zapadły wieczne wrota,
A śmierć niszcząca żywot drń
Zwiększyła skarb żywota.”

Władysław Pańczak (Lwów)

—0—

Dzisiejsza sztuka sowiecka

Teatr

P André van Gyseghem, młody reżyser londyńskiego Embassy Theatre w dzielnicy Swiss Cottage, wybrał się do Rosji Sowieckiej dla studiów nad tamtejszą sceną. Pierwotnie miał zabawić w Moskwie tylko parę tygodni i rzeczywiście wyjechał już stamtąd do Wiednia, ale zaproszony na moskiewską Olimpiadę teatrów robotniczych, wrócił do bolszewickiej stolicy i skorzystał z zaproszenia. Do Anglii przybył jako pełen entuzjazmu zwolennik dzisiejszego teatru rosyjskiego.

W Olimpiadzie owej brały udział także zespoły przybyłe z poza Rosji. Przedstawienia, prawie wyłącznie sztuk bardzo krótkich, trwających około dwudziestu minut, odbywały się przez cały tydzień jedno za drugim, wypełniając dzień i znaczna część nocy w ogromnej sali, w której mieściło się niegdyś warieté. Gyseghem zachwyca się inscenizacją i doborom sztuk, nie wymagających prawie żadnej inscenizacji i nadających się do grania gdziekolwiek — po szkołach, po czytelnich, pod bramami fabryk. Niektóre napisane są wcale zrecznie. Na grę robotników - aktorów zapatruje się jednak p. Gyseghem dość krótko.

O wiele lepiej wypadł jego sąd o zwyczajnym teatrze. Jest to ulubiona rozrywka bolszewików. W Charkowie jest obecnie 9 teatrów, a w najbliższym czasie otworzą trzy nowe. — Wszystkie zaś te przybytki sztuki proletariackiej są zatłoczone. Przybyższy z Londynu zdarzało się często odchodzić od kas. To ten lub ów związek zawodowy czy grupa robotnicza zakupiła przedstawienie dla swych członków.

Między widzami panuje dyscyplina. Anglika zdziwiło, że na sali nie wolno palić i że przy podniesionej kurtynie nikogo nie wpuszczają na salę. Zauważył również obfite zaopatrzenie bufetów i wielka liczba posilających się w czasie antraktów. Jakkolwiek napróżno oglądał się za wieczornymi strojami, zauważył, że publiczność sowiecka ubiera się do teatru starannie, niż na codzień, i wogóle odwiedza go poniekąd w odświeżonym stroju.

Wszystkie eksperymenty konstrukcyjne, kubistyczne itp. zarzucono, — wracając do systemu realistycznego. zredukowanego jednak do najsłabszych i najprostszych szczegółów. Skąpe dekoracje uzupełnia się często umiejętnie stosowaniem użyciem kine-matografu, a nawet poprostu latarni magicznej. Umożliwia to błyskawiczną zmianę tła, obrazy zaś bywają bar-

dzo efektowne. System taki umożliwia szybkie tempo mimo licznych zmian dekoracji.

Zapytany podczas wywiadu, czy wszystkie sztuki są propagandowe, p. Gyseghem odpowiedział bez namysłu: „Mniej więcej wszystkie“. Niema w Rosji obecnie sztuk, dziejących się w niebolszewickiej przeszłości (chyba tendencyjnie przerobione, jak zrobiono np. z „Hamletem“). Dramaturgowie przenoszą na scenę otaczającą rzeczywistość, naturalnie oświetloną zgodnie z ideami bolszewickimi i bezpośrodkowymi dążnościami rządu. Przewijają się przed oczyma zatargi robotników z kierownikami fabryk, wysiłki kolektywizacji gospodarstwa wiejskiego, problemy produkcji masowej itp.

P. Gyseghem twierdził, że odbija się to na wartości sztuki w o wiele mniejszym stopniu, niżby można się spodziewać. Pewna jednostajność wynagradza aktualność, zbliżająca widza ku postaciom i problemom.

Robiacy wywiad dziennikarz miał widocznie pewne wątpliwości, bo spytał nagle p. Gyseghema: „No, a czy niema tam miejsca na taką sztukę, nie mającą nic wspólnego z propagandą, jak np. „Romeo i Julia“? Lecz entuzjasta bolszewickiego teatru odparł: „Romeo i Julia“ byłby daleko lepszą sztuką, gdyby rzecz działa się za naszych czasów w Manchester, a prze-

szkodą, dzielącą Kochanków, stanowiło coś innego, niż niezrozumiała dzisiaj nieprzyjaźń rodów. Romeo mógłby np. nie mieć możności utrzymania żony, albo Julia być nauczycielką, której w razie wyjścia zamaż groziłaby utrata posady.

Dużo w relacji p. Gyseghema należy włożyć na karb zapału, jaki wzbudził w nim widok czegoś odobnego zupełnie od rzeczy znanych. Nie ulega jednak wątpliwości, że wielkie tradycje rosyjskiego teatru z czasów carskich nie zaginęły i są do dziś dnia podstawą sceny sowieckiej. W. T.

Sztuka plastyczna

O wiele gorzej przedstawia się sztuka plastyczna. W Moskwie otwarto niedawno dwie wystawy, imponujące głównie ogromem. W jednej z nich wzięło udział 800 artystów, którzy wzięli sobie za cel gloryfikację czerwonej armii. Druga, złożona z 3500 obrazów i rzeźb, ma dawać przegląd rozwoju sztuki sowieckiej w ciągu lat piętnastu.

Tendencja objawia się w piśmie, jakie uczestnicy pierwszej z wystaw wystosowali zbiorowo do komisarza wojny Woroszyłowa. Czytamy tam:

Nie mogę uznać dzieł ekspresjonizmu, kubizmu, futurizmu i innychizmów za najwyższą formę geniusza artystycznego. Nie rozumiem ich i nie znajduję w nich przyjemności.

Jedna z recenzji z tej wystawy miała znamienity tytuł: „Pędzą artyści — bronią wojenną“.

Jak ściśle łączy się twórczość malarzy i rzeźbiarzy sowieckich z bieżącymi prądami politycznymi, widać z faktu, że w licznych dziełach, osnutych na walce o władzę, nie ukazuje się zupełnie Trocki.

Zdaje się, że artyści sowieccy kierują się wskazaniem przywódców. — Lenin powiedział był swego czasu:

My artyści, pragniemy dziełami naszymi strzelać do klasowego nieprzyjaciela tak, jak strzelali i będą strzelali żołnierze Czerwonej Armii... Nauczycielem sztuki walki, sztuki klasowej.

To też na wystawach moskiewskich przykłady potępionych kierunków są bardzo nieliczne. Nie dość na tem, umieszczono je osobno i zaopatrzono w tablice z powyższym cytatem — jakby dla zaznaczenia, że żaden prawowitny bolszewik nie powinien rozkoszować się niemi.

Stalin zwrócił się znowu swego czasu do artystów sowieckich z wezwaniem, aby stworzyli „realizm socjalistyczny“. Prawdopodobnie apel jego podziałał zbyt silnie. Wzięto go dosłownie. Portrety, sceny obozowe i wojenne mają wyraźny charakter fotograficzny.

Często ma się wrażenie, że sztuka plastyczna rosyjska przeżywa ponownie swe dzieciństwo. Swego czasu malarze ikon w rodzaju tego, którego wprowadził Mereżkowski w „Leonardzie da Vinci“ twardo stali przy tradycyjnych metodach, reprodukcją z wytrzymałością godną lepszej sprawy parę typów. Coś podobnego widzi się i na moskiewskich wystawach. W scenach zbiorowych jedna twarz prawie nie różni się od drugiej. Komisarz jest podobny do komisarza, robotnik do robotnika, białogwardziec do białogwardzieca.

Wykonanie pozostawia dużo do życzenia. Widać pośpiech i niedbałość, brak śmielszych efektów świetlnych. Wszystko jest szare, jak bolszewicka rzeczywistość.

Nad sztuką sowiecką syciążył — afisz propagandowy. Stał rysunki stoją stanowczo wyżej od malowideł.

Jan Szarzyński

Wpływ emanacji radowych na powstawanie wola

P rzerost gruczołu tarczowego czyli tzw. wole jest chorobą, pojawiającą się obecnie znacznie częściej, i to nie tylko w tych okolicach, gdzie występowała niemal stale, lecz i tam, gdzie wypadki zachorowania bywały dotąd bardzo rzadkie. Również i w Polsce stwierdzają lekarze znaczny wzrost wypadków tej choroby u dzieci szkolnych.

Jakie są przyczyny powstawania wola, — nad tem zagadnieniem łamia sobie głowy uczeni od długiego czasu, — niestety dotychczas bezskutecznie.

Najczęściej i od najdawniejszych czasów, — bo jeszcze w starożytności, — wysuwana była teoria, iż choroba ta powstaje woda, używana do picia.

Ostatnie badania przeprowadzone przez uczonych, Pfundlera i Repina, zdają się wskazywać na to, że teoria powyższa znajduje poniekąd swe uzasadnienie. Przedewszystkiem badaczka uderzyć musi jeden fakt, że mianowicie choroba ta występuje najsilniej wśród ludności zamieszkującej wśród gór, a więc: w Szwajcarii, Tyrolu, Styrii, dalej w Tatrach i na Podkarpaciu, na Bałkanach, w Himalajach, na Kaukazie, Uralu, w górach Afryki

i Ameryki. Co więcej, stwierdzonem zostało, że ludzie zupełnie zdrowi, przybyli świeżo do okolic, gdzie wole nągminnie panują, zapadali łatwo na tę chorobę. I naodwrot: chorzy, dotknięci tą chorobą, wykazują znaczna poprawę, a nawet zupełne wyleczenie, skoro przesiedlą się w okolice wolne od tej epidemii.

Otóż wedle teorii Pfundlera i Repina w krajach alpejskich znajdują się pewne rodzaje skał, obfitujących w rad i zdolnych go emanować. W rachubę wchodzi tu przedewszystkiem granit i gnajs, — przyczem młodsze skały wybuchowe są w rad bogatsze, aniżeli formacje geologicznie starsze. A właśnie okolice młodszych skał wybuchowych wykazują silniejsze nateżenie tej choroby.

Z drugiej zaś strony stwierdzonem zostało, że okolice pustyne, wydmy piaszczyste, torfowiska i ziemie próchnicowe nie emanują zupełnie radu, a choroba wola jest w tych okolicach zupełnie nieznaną.

Wedle teorii Repina ciała promieniotwórcze i ich emanacje przedostają się z owych formacji skalnych do źródeł i wód, których picie wywołuje nadmierny rozrost gruczołu tarczowego. Na poparcie tej teorii przy-

zytacza ponadto fakt, że taka woda, pochodząca ze źródeł radioaktywnych, po przegotowaniu traci zupełnie zdolność wywoływania wola. Gotowanie bowiem usuwa z niej emanacje ciał promieniotwórczych.

Dotychczasowe wyniki badań w tym kierunku nie dają jeszcze zupełnie pewnej podstawy do wydania ostatecznego sądu co do słuszności i trafności tej teorii, — która jednak jedna sobie coraz więcej zwolenników, dając jasne i racjonalne wytłumaczenie tak charakterystycznego rozmieszczenia głównych ognisk tej choroby. Pozwala nam też ta teoria znaleźć pewne środki zapobiegawcze. A więc starać się trzeba przedewszystkiem o możliwe odsunięcie ludności od bezpośredniego szkodliwego działania ciał promieniotwórczych.

Do tego celu zmierza: picie wody tylko przegotowanej, dalej budowanie mieszkań piętrowych, o betonowych sklepieniach i piwnicach, utrudniających dostęp tyfii emanacji. Innemi słowy w miarę postępu kultury w okolicach dotkniętych wolem liczyć się można ze stopniowo malejącem nateżeniem tej choroby.

(R)

Pogranicza są zawsze niebezpieczne...

W nazywaniu Dalmacji „perłą Jugosławii” niema ani cienia przesady. Kraj ten bowiem posiadający tyle i tak różnorodnych naturalnych dekoracji może zupełnie śmiało współzawodniczyć z okrzyczanym Cote d'Azur, czy słynnym Lido. Ale równocześnie ta Dalmacja jest dla Jugosławii miejscem bodajże bardziej niebezpiecznym, niż zapomniane już niemal dziś, a leżące na ziemiach królestwa SHS - Sarajewo.

Kiedy bowiem czyta się rozmaite „Popolo d'Italia”, czy „Corriere de la Serra”, może wydawać się, że w Dalmacji toczą się nieustanne walki orężne pomiędzy włoską ludnością zamieszkującą ten kraj, a przedstawicielami ciemniejszej władzy jugosłowiańskiej. Sprawa „włoskiej” Dalmacji nie schodzi ze szpalt faszystowskich dzienników i czasopism, wedle których tamtejsza ludność cierpi katusze niemięjsze od tych, jakie ponosili pierwsi chrześcijanie w neronym Rzymie.

— „Słoneczna Dalmacja, kraj czysto włoski musi wrócić do królestwa Italii” — oto hasło rozbrzmiewające coraz częściej. Narazie walka jaka toczą faszystowskie Włochy o Dalmację polega na otaczaniu przeciwnika swymi sojusznikami: Węgrami (mającymi ze wszystkimi sąsiadami naprężone stosunki polityczne od czasu traktatu w Trianon) i Bułgarią, idącymi chętnie pod batutą dyrygentów z Rzymu. Na terenie samym Włoch istnieje natomiast szereg wielkich stowarzyszeń patriotycznych z wysokimi urzędnikami i dostojnikami faszystowskimi na czele, mające za zadanie szerzenie propagandy za przyłączeniem do Włoch Dalmacji. Stowarzyszenia te między innymi organizują przedstawienia teatralne, lub żywe obrazy malujące straszliwa niedole rodaków jęczących pod jarzmem słowiańskich „barbarzyńców” (fakt!).

Zresztą w jakimże kierunku mogłaby się zwrócić imperjalistyczna ekspansja Włoch Mussoliniego, jak właśnie nie w kierunku Jugosławii i jej Dalmacji? Tej Dalmacji, o której narodowy wieszcz Gabriele D'Annunzio wołał, że musi być przyłączona do macierzy.

Jednym z najłatwiejszych punktów do zwrócenia zapędów imperjalistycznych i wygrywania pseudo-patriotycznych hasel wygodnych dla lubujących się we wszystkich teatralnych akcesoriach Włochów była Dalmacja. Na nią to został otwarty huraganowy ogień, narazie jeszcze nie dział artyleryjskich, ale wszystkich gazet i miesięczników włoskich, krzyczących i plujących przeciwko wszystkiemu co jugosłowiańskie.

Jedna rzecz jest w tem całym zagadnieniu zastanawiająca, to fakt, iż do czasu wojny światowej Włochy nigdy nie zajmowały się ruchem niepodległościowym austriackiej podówczas Dalmacji. Dopiero po jej ukończeniu, w czasie podpisywania tajnego paktu aliantów w Londynie (1918 r.) kwestja Dalmacji została wysunięta przez Włochy po raz pierwszy.

W Dalmacji, którą przebiegam wzduż Adriatyku od Dubrownika aż po Susak — jugosłowiańska część Fiume — czynię rozpaczliwe poszukiwania krwawych walk włoskiej irredentów, godne notatnika reportera, —

Skoro widzę wszędzie spokój zaczyna szukać w wąskich zaułkach, czy zacisznych przystaniach Splitu, Makarska, Dubrownika, Susaka, Hwaru, czy Dubrownika — melodyjnych dźwięków mowy włoskiej.

Jedyny raz udało mi się słyszeć mowę włoską w zacisznej restauracyjce, schowanej w załomach murów starych domów Splitu. Para małżeńska z Bedeckerem i „Kodakiem” w rękach rozmawiała z sobą po włosku, lecz w pewnej chwili doznałem strasznego zawodu... przeszli bowiem, widząc iż słucham ich rozmowy, na gardłowa angielszczyznę...

Nie można znowu twierdzić, jak to czynią skrajnie szowinistycznie nastawieni Serbowie, iż Włochów na terenie Jugosławii niema zupełnie. Wedle bowiem oficjalnych statystyk jugosłowiańskich na terenie Dalmacji zamieszkuje obecnie 4900 Włochów, co wobec ogólnej liczby 764.699 mieszkańców stanowi zaledwie 0,64 proc. Z drugiej zaś strony nie może więc być mowy o jakichś walkach dalmatyńskiej ludności włoskiej przeciwko tyranom słowiańskim.

Pomiędzy statystykami włoskimi podawanymi z rozmaitych okazji zachodzą bardzo duże nawet sprzeczności, pozwalające mniemać, iż nie odpowiadają one zbytnio prawdzie. Jedne z nich stwierdzają obecność 11 tysięcy Włochów w Dalmacji, inne 14 tysięcy, a któryś wreszcie z „odwetywych” pisarzy włoskich pisze o 16 tysiącach. Jednym słowem zachodzi w tem wszystkim jakieś wielkie nieporozumienie, które w sumie potwierdza prawdziwość statystyk jugosłowiańskich.

Włosi opierają swe roszczenia do pięknej Dalmacji na rozrzuconych po całym wybrzeżu pomnikach kultury weneckiej, stwierdzających zależność i silne wpływy pod jakimś ongiś znajdowały się te ziemie. Tu niewątpliwie jest pewna słuszność, ale nie w zupełności.

Państwo illiryjskie bowiem zostało podbite przez Rzym. W Dalmacji jednakże nic nie zmieniono, nie narzucając nawet języka, który pozostał nadal illiryjskim. Cesarowie bywali tu często na tem, jakżeż odmiennym wybrzeżu Adriatyku. Ale specjalnie opieką otacza Dalmację pochodzący z tych ziem Dioclecjan, wznosząc świątynie i pałace.

Później następuje szereg długich i wyczerpujących wojen z najeźdźcami rzymskimi, które zakończone zostały przez ces. Augusta wysłaniem siedmiu legionów przeciwko bitnym Dalmatom, rozbijając w pył wszystkie nadzieje i marzenia o wolności.

Pięć ciężkich i długich wieków trwała niewola rzymska, która jednakże nie zdołała zniszczyć, ani zasymilować potomków Illiryków, ciążących raczej ku Grecji, niż ku Rzymowi. Tu bowiem ścierały się wpływy sztuki i kultury greckiej z rzymską, dzięki którym Dalmacja zyskała szereg wspaniałych budowli.

Wiek późniejszy — to czas burz, które jedne za drugimi przechodziły nad Bałkanem i słoneczną Dalmacją, należąca do Cesarstwa Wschodniego. W VII wieku nowa fala barbarzyńców zapędza w te kraje Słowian. Wreszcie Dalmacja i jej ludność pochodzenia illiryjsko-słowiańskiego oddzielają się od Rzymu, jego kultury i religii. Staje się teren walk religijnych, znowu jako ziemia ścierających się wpływów Zachodu — Rzymu i wschodniego Bizancjum.

W 1107 jeden z dożów weneckich — potęgi wyrosłej nad Adriatykiem, Ordełaf, obok innych tytułów zaczyna nazywać się Dux Croatiae et Dalmatiae. Potem wielki doża Pietro II Orseolo dokonuje triumfalnego wjazdu do Dalmacji, przyjmującej go z zadowoleniem, jako przedstawiciela władzy, zdolnej uśmierzyć waśnie drobnych książąt feudalnych o władzę.

Krok ten pociągnął za sobą długie, trzy wiekowe wojny pomiędzy Wenecją a Węgrami, roszczącymi sobie prawa do Dalmacji, po poddaniu się ich opiece książąt kroackich. Węgry walczyły o wolny dostęp dla swych południowych ziem do morza, toteż toczone przez długi czas walki, przechylały raz na jedną raz na drugą stronę szale zwycięstwa. Walki toczyły się głównie wokół miasta Zara, — stolicy Dalmacji, osiemnastokrotnie zdobywanej przez Wenecję i odbieranej przez Węgrów. Wreszcie w 1381 r. zostaje zawarty pokój, przyznający Dalmację Węgrom, wraz z wszystkimi prawami. Dopiero po półtora-wiekowej przerwie Wenecja ponownie wkrocza na te ziemie, jako niepodzielna władczyni.

W tym to okresie czasu, a szczególnie w XV i XVI wieku zaczyna się

rozwijać literatura słowiańska, wzbogacająca język i rozpowszechniająca jego użycie. Rozwijają się w tym czasie sztuki piękne i architektura.

W XVIII wieku przychodzi w całym społeczeństwie dalmatyńskim zrozumienie konieczności połączenia się z swymi braćmi: Serbami i Kroatami. Temu jednakże sprzeciwia się nowa potęga wyrastająca na Bałkanie. — Austria, popierająca rozmaite ruchy narodowościowe tylko w tym wypadku, o ile chodziło o rozbicie jakiegoś państwa.

Wiedeń sprzeciwia się połączeniu Dalmacji z Krocją, podsycając bardzo skądinąd nikły ruch irredenty włoskiej. Zawierucha spowodowana w całej Europie, stwarza efemeryde: księstwo Illiryjskie. Kongres wiedeński jest epilogiem tego księstwa, które podobnie jak tyle innych zniknęło z karty Europy, tworzonej czynem Napoleona, wyrabanej bagnietami jego wojsk. Dalmacja obok Krocji staje się prowincją austriacką.

Wojna światowa zastaje Dalmację pod jarzmem austriackim, które rychło zostaje stracone i dalmatyńcy wraz z serbami i kroatami walczą o wielką wspólną ojczyznę — Jugosławie. Niestety nie całe pobraże dalmatyńskie zostaje przyłączone do ziem słowiańskich, część bowiem wraz z stolicą Zara traktatem w Papallo zostaje przy Włochach.

Dziś te ziemie czysto słowiańskie, które pomimo tylu burz i nawałnic, jakie nad nimi przeszły, pozostały nadal przy mowie i kulturze swych ojców. — stanowią owoc pożądany dla imperjalistów włoskich, którzy pomimo zapewnień i najrozmaitszych traktatów i paktów, niczem się nie różnią od rzymskich cesarów, czy włoskich dożów.

Dalmacja, o której Petrarca pisał, że ma inne słońce, jej mieszkańcy żyją inaczej od Włochów, z którymi łączy ich tylko wspólne morze, rozdzielające jednakże ich podobnie jak Alpy oddzielają Włochy od Niemiec, czy od Francji. — musi pozostać jugosłowiańska, bo tego pomijając inne względy wymaga interes światowego pokoju.

Pogranicze ciągnące się od Susaku jest bardzo niebezpiecznym pasem Europy, leżącym zbyt blisko Sarajewa, aby ich mieszkańcy mogli o niem zapomnieć. O tem przedewszystkiem powinni pamiętać włosi, piszący i zafamujący ręce z rozpacz nad Dalmacją, „jęczącą pod jarzmem barbarzyńców słowiańskich”.

J. Radziwiński (Lwów).

Ze świata książki

Zygmunt Nowakowski: „Książka zażaleń”, (Księgarnia „Nauka i sztuka” Kraków, Cena zł 3.50).

Zbiór błyskotliwych, ciętych feljetonów na przeróżne tematy, zarówno społeczne, jak polityczne, literackie i lokalne krakowskie.

Przedziwna lekkość stylu, bystrość obserwacji, niewymuszony zdrowy humor, — to są charakterystyczne cechy talentu tego doskonałego pisarza — feljetonisty, zdającego mu tysiące czytelników.

Równocześnie jednak potrafi Nowakowski zdobyć się na najczulszy liryzm, poruszyć najczulsze struny naszego serca. — czy to pisząc o mizernej wiejskiej szkółce („Dokarmianie wiosny”), czy o naszych chłopach — emigrantach („Z uwag pisarza gminnego”), czy o dręczeniu zwierząt („Bracia Konie”).

Zbiorek otwiera kapitalny „Tajfun”, w którym autor poddaje niesłychanie ostrej i zjadliwej krytyce sprawę reformy, a właściwie zniesienia autonomii naszych uniwersytetów. Mówiąc o wpływie, jaki zawarowało sobie ministerstwo przy nominacji profesorów, wyraża obawę, że „nowi profesory” nie będą się cieszyli

„zaufaniem i szacunkiem młodzieży. Nie trzeba się w tem bynajmniej dopatrywać jakiegoś smutnego refleksu czasów „niewoli. Ale młodzież jest nieufna i ma „nosa w tych sprawach...”

„Z profesora czy rektora robi się „przeciętnego urzędnika, czyli człowieka, który nie wie dnia ani godziny... Zamiast być reprezentantem uniwersytetu — staje się czemś w rodzaju „oficera łącznikowego z przydziałem na trzy lata. Jest mężem zaufania ministra... Ale i ministrowie zmieniają się od czasu do czasu. Nawet przy obecnej, absolutnej stabilizacji zdarza się co „kilka tygodni, że np. minister reform „rolnych dzięki wszechstronnemu uzdolnieniu zostaje ministrem skarbu, minister spraw wewnętrznych ministrem „jakichkolwiek innych spraw itd., itd.”

„zależnie od tego co wakuje. Prawdopodobnie razem ze zmianą w min. oświaty musiałaby nastąpić zmiana rektora, „ponieważ każdy minister będzie chciał „mieć w każdym uniwersytecie pod „ką swojego człowieka. Ież to ruchu „zapowiada się!”

Poponuje tedy Nowakowski przeprowa-

dzanie wszystkich reform na wszystkich możliwych polach jednego dnia, ryczałtem en gros... Jak cyklon na Kubie... Jak tajfun u brzegów Japonii...

W przedmowie nazywa Nowakowski swą „książkę zażaleń” — czkawką dziejów i sennikiem arabskim, tem aktualniejszym, że chwilowo odnosimy wrażenie, jakoby wszystko śniło się nam tylko. A jednak te awantury arabskie, to jawa najprawdziwsza.

I to właśnie dodaje wartości tej książce, będącej cenym, a jakże charakterystycznym dokumentem chwili!

Stab. Marjan Szuperski: Zółkiew i jej zabytki historyczne (Zółkiew 1933, nakładem autora).

Związły przewodnik po Zółkwi, zawierający zarówno szkic historyczny samego miasta, jak i szczegółowy, sumienny opis wszystkich jego zabytków, ze szczególnem uwzględnieniem pięknego kościoła parafialnego.

Broszurka ta oddać może duże usługi wszystkim zwiedzającym to miasto, tak ściśle związane z historją rodu Zółkiewskich i Sobieskich.

Walka z rdzewieniem żelaza i gniciem drzewa

Materiały budowlane oraz używane do rozmaitego rodzaju konstrukcji podzielić można na trzy zasadnicze grupy: drzewo, kamień i metale. Wszystkie one posiadają z punktu widzenia te zła stronę, że nie są wieczne. Drzewo gnije, kamień wietrzeje a żelazo zjada rdza. Te szkodliwe zjawiska sprawiają człowiekowi bardzo wiele kłopotów i to kłopotów, które kosztują duże sumy złota. Troska wynikająca z faktów, że nasze budowle i maszyny, nasze dzieła sztuki niszczyją, połączona ze świadomością o dotychczasowym marnotrawstwie w gospodarowaniu temi surowcami, zmusza nas do coraz bardziej intensywnej walki w pierwszym rzędzie z korrozją żelaza i drzewa (to znaczy z rdzą żelaza i gniciem drzewa). Kamień bowiem jeżeli żywot jego mierzyć będziemy długością żywota ludzkiego, uważać możemy za długowieczny i niewymagający tak starannej konserwacji, jak żelazo i drzewo. Ale i w tej grupie materiałów budowlanych pewne ich gatunki wymagają specjalnej opieki.

Walka z korrozją dwóch podstawowych materiałów budowlanych: żelaza i drzewa, troska o ich konserwację interesuje i zajmuje o wiele szersze masy ludzi, jest o wiele powszechniejsza, aniżeli trudności techniczne związane z produkcją tych materiałów. Gdy bowiem kwestie związane z fabrykacją np. stali interesują bezpośrednio tylko metalurgów, to kwestia rdzewienia tej stali interesuje się kolej, marynarka, aeronautyka, interesuje się nią właściciel auta, motocyklu czy też roweru. Wiedzą bowiem oni, że brak opieki nad temi przedmiotami skróci okres ich używalności, pozbawiając właściciela czy to korzyści materialnych, czy przyjemności. Wiedzą oni również wszyscy dobrze, że walka z korrozją kosztuje, że czyszczenie przedmiotów rdzewiejących pochłania nie tylko pieniądze, ale i czas.

Straty pieniężne, wynikające wskutek rdzewienia konstrukcji żelaznych, obliczone w odniesieniu do ilości żelaza na całym świecie, wyrażają się olbrzymimi cyframi: obliczają je na kwotę 10-ciu miliardów marek rocznie! Według obliczeń niemieckich, z milionów ton żelaza wyprodukowanego na całym świecie począwszy od roku 1766, nie mniej jak 718 milionów ton uległo zniszczeniu wskutek rdzewienia. Obecnie rdza zjada rocznie na całym świecie około 22 milionów ton żelaza, co równa się rocznej, całkowitej produkcji przemysłu żelaznego Niemiec, obliczonej na 22,5 milionów ton. *) Walka z rdzą kosztuje Stany Zjednoczone rocznie wiele miliardów marek.

Odnosząc się nawet bardzo krytycznie do ścisłości powyższych cyfr, otrzymamy mimo to jeszcze bardzo poważne ilości ton żelaza zżeranej rdzą.

A jakie sumy kosztuje walka z rdzą?

Kapitał umieszczony w niemieckich żelaznych mostach kolejowych obliczony jest na sumę 1,2 miliarda marek, konserwacja zaś tych konstrukcji kosztuje 48,5 milionów marek rocznie. Towarzystwo okrętowe

*) Cyfry podane w niniejszym artykule odnoszą się oczywiście do czasów przedkryzysowych.

wydają rocznie setki tysięcy marek na lakierowanie okrętów w celu ochrony przed rdzą i obrastaniem. Straty wynikające z rdzewienia są znacznie większe w ośrodkach przemysłowych i wielkomijskich, co tłumaczymy tem, że przy spalaniu się węgla powstaje kwas siarkawy, który w wilgotnym powietrzu przechodzi w kwas siarkowy, silnie nagryzający żelazo.

Drzewo musimy również chronić przed niszczącymi wpływami. Ten bowiem budulec ulega, jako substancja organiczna, gniciu, lub też staje się znakomitym podłożem dla rozwoju rozmaitych robaków i zwierzątek oraz grzybów i bakterii, które żywiąc się jego substancją powodują jego niszczenie. Chcąc przedłużyć żywot drzewa ściętego, musimy go chronić przed temi, wszystkimi zgubnymi wpływami.

Nasuwa się tu jednak pytanie: czy oplacają się te zabiegi konserwujące drzewo, skoro nie jest to produkt taki, jak żelazo, które może się wyczerpać? Wszak drzewo można produkować na ziemi tak długo, jak długo świecić będzie słońce.

Teoretycznie tak jest, ale w praktyce rzecz ta wygląda inaczej. Przedewszystkiem nie wszędzie, nie we wszystkich krajach przyrost drzewa dorównywa względnie przewyższa jego zużycie. Są kraje, gdzie jest wręcz przeciwnie, gdzie prowadzi się rabunkową gospodarkę drzewną. Tak gospodarowano z olbrzymimi bogactwami Kanady, a o gospodarce drzewnej w Stanach Zjednoczonych pisał w roku 1912 Leitner („Die Technik des Welthandels“ Bd. 2, 1912) co następuje: „Niektóre gatunki drzewa wkrótce znikną, inne już są niemal całkowicie wyczerpane. Władze naderemnie walczą o wprowadzenie uprządkowanej gospodarki leśnej“.

Obok olbrzymich bogactw leśnych Ameryki, poważną pozycję w światowym bilansie gospodarki drzewnej stanowią lasy Rosji europejskiej i azjatyckiej. Według obliczeń przedwojennych (a więc z Finlandją i Kongresówką) pokrywają te lasy obszar

549.000.000 ha. Niewątpliwie w czasie wojny obszary te poważnie zmalały, ale i dziś są one olbrzymie, o czym świadczy zainteresowanie niemi Japonii i Stanów Zjednoczonych, a przede wszystkim Anglii, ubokiej w drzewo już przed wojną, a jeszcze bierniej szei po wojnie.

Jeżeli chodzi o bogactwa leśne Polski to według urzędowej statystyki (Mały Rocznik Statystyczny. Rok wydawnictwa IV. 1933) w roku 1933 powierzchnia obszarów zalesionych wynosiła 8.322.000 ha.

Ten stan rzeczy zmusza z jednej strony do wprowadzenia racjonalnej gospodarki leśnej, z drugiej zaś strony wysuwa problem przedłużenia okresu użyteczności drzewa ściętego. Konserwacja drewna daje bardzo poważne korzyści finansowe, o czym niech zaświadcza następujące cyfry, zaczerpnięte ze statystyki niemieckiej.

Poczta niemiecka płaciła przed wojną za jeden metr sześcienny słupów telegraficznych nieimpregnowanych 40,80 marek, za te samą zaś ilość impregnowanych 52,80 M. Średni okres użyteczności słupów nieimpregnowanych wynosił 8 lat (7,9), impregnowanych 14 (13,9) lat. Przyjmując roczne zużycie słupów telegraficznych w Niemczech przed wojennych na 400.000 sztuk czyli 88.000 m³, otrzymywano kwotę 263.000 M. zaoszczędzonych rocznie, wskutek użycia słupów impregnowanych. Kwota ta przeliczona na warunki i ceny powojenne wynosi 720.000 M. złotych.

Nieimpregnowane progi kolejowe trzeba zmieniać co 8 lat, gdy impregnowane co 18 lat. Według obliczeń przedwojennych Kolej prusko-heskich zaoszczędzono rocznie, przez użycie pokładów impregnowanych 825.000 M. złotych, co przeliczone na warunki i ceny przedwojenne daje 2.090.000 zło tych marek rocznie.

Wobec tych wszystkich faktów nie można się dziwić rozlicznym usiłowniom, idącym w kierunku zwalczania korrozji. Usiłowania te idą w rozmaitych kierunkach. Przy drzewie stosuje się impregnowanie lakierowanie i

metalizację, przy żelazie zaś mamy o wiele większą różnorodność sposobów i prób zwalczania rdzy, co tłumaczy się większym kosztem tego surowca. A więc niektórzy starają się zastąpić żelazo rozmaitymi nierdzewiejącymi stopami, niezawierającymi żelaza. Ten sposób walki z korrozją jest stosunkowo bardzo kosztowny. Można żelazo chronić przed rdzą, powlekając jego powierzchnię np. niklem lub cyną, można je polakierować. Wreszcie jednym z bardzo doniosłych sposobów walki z rdzą jest zastąpienie żelaza stałą nierdzewiejącą t. zn. stopem żelaza z innymi metalami.

Ale to jeszcze nie wszystko w walce z korrozją żelaza. Obok środka chroniącego powierzchnię metaliczną przed rdzewieniem, trzeba umieć należyście ją oczyścić przed nałożeniem środka ochronnego, trzeba z tej powierzchni usunąć wszelkie ślady rdzy i wilgoci, bo praktyka uczy, że wszelkie zaniedbania w tym kierunku powodują bardzo poważne straty finansowe a stosowanie kosztownych środków ochronnych na żele odczyszczonej powierzchni jest wyrzucaniem pieniędzy.

Odczyszczanie powierzchni metalu wykonuje się dwoma zasadniczymi metodami. Pierwsza, to t. zw. piaskowanie. Polega ono na tem, że powierzchnię metalu szlifuje się uderzającym w nią piaskiem. Metoda ta wymaga stosunkowo dużej aparatury, co czyni ją mało praktyczną.

Druga metoda, bardzo prymitywna, polega na ręcznym czyszczeniu metalu przy pomocy drucianych szczotek. Obecnie weszły w użycie elektryczne pedzone, szybko obracające się szczotki. Ten ostatni sposób jest bardzo praktyczny i daje dobre rezultaty.

Jak widzimy walka z rdzą to niezwykle poważny odcinek nie tylko pracy naukowej, ale i życia gospodarczego, nic więc dziwnego, że coraz więcej uwagi poświęca się temu zagadnieniu. **B.**

—0—

Nowy system anteny radjowej

Jak wiadomo, pierwsze aparaty radiowe nadawcze, skonstruowane przez Marco Polo, zaopatrzone były w antenę pionową. Okazała się ona jednak wkrótce niepraktyczną: przy jej znacznej stosunkowo długości nie dało się uniknąć fatalnych skutków indukcji pod wpływem części metalowych podtrzymujących antenę.

Dlatego rozpoczęto budować anteny, rozpięte poziomo we formie sieci. Jak jed nak doświadczenie uczy, antena rozpięta poziomo ma również swoje złe strony: nie może ona dać żądanego maksimum wydajności, a co ważniejsze, nie wypromieniowuje fal z jednaką intensywnością we wszystkich kierunkach.

W poszukiwaniu nowej, najwłaściwszej formy anteny, podjęto obecnie w Ameryce bardzo ciekawe próby. Oto w stacji radiowej nadawczej w Nashville (stan Tennessee) wybudowano olbrzymi maszt-antena, wysokości 267 metrów. Maszt ten składa się z dwóch czworobocznych skośnych piramid, złączonych ze sobą szerszą podstawą. Każda z tych piramid mierzy u szczytu około 35 centymetrów z każdego boku, w najszerszym zaś miejscu u podstawy, szerokość jednego boku wynosi 11 metrów. Cała budowa spoczywa na podstawie betonowej, a podtrzymywana jest przez ośm potężnych lin stalowych, należycie izolowanych.

Miejsce normalnie stosowanych anten

poziomych zastępuje tu sam maszt-antena, promieniująca fale elektro-magnetyczne.

Jak wykazały obliczenia i doświadczenia, wysokość tego rodzaju anteny-masztu wynosić winna połowę długości transmitowanych przez nią fal, — zatem przy fali np. 1700 metrów antena musiałaby mieć około 850 metrów wysokości. Z tych względów może ona znaleźć zastosowanie tylko do fal krótkich lub średniej długości.

Doświadczenia dotychczasowe wskazują, że zastosowanie takiego masztu-anteny poziomej, daje ogromne korzyści. Fale promieniują z niej równomiernie we wszystkich kierunkach, — odbiór jest znacznie lepszy, czysty i jasny, a co najważniejsze, znika niemal zupełnie tzw. **fading**, stanowiący tak przykrą a niemożliwą do usunięcia przeszkodę przy odbiorze.

Pewną trudność stanowi jedynie konserwacja całej anteny-masztu. Dlatego też cała konstrukcja żelazna musi być należyście galwanizowana, aby ochronić od szkodliwego działania wpływów atmosferycznych.

Jak słyhać, stacja budapeszteńska zamierza, pierwsza w Europie, zbudować podobny maszt-antena, coby nam dało możliwość wypróbowania jej działalności i skuteczności. **(kr.)**

Cerkiew na sprzedaż

Miasto Szent Andre koło Budapesztu przechodziło w ciągu wieków zmienne koleje. Przed kilkuset laty było ludne i bogate, później mocno podupadło. Cesarzowa Marja Teresa sprowadziła osadników serbskich i miasto podniosło się znowu. Wybudowano w tym czasie 8 cerkwi prawosławnych, które podlegały metropolii białogrodzkiej. Ale osadnicy zażyczyli sobie za ojczyznę i wrócili do Serbji. Przed trzema laty ilość prawosław-

nych w Szent Andre wynosiła 150 na 6 cerkwi, w których mszę odprawiano naprzemian. Obecnie parafia wystawiła na sprzedaż cerkiew św. Piotra i Pawła, umieszczając odpowiednio ogłoszenie w gazecie Pesti Naplo. Cena wynosi ok. 25.000 zł. Parafia liczy na jakiegoś Amerykanina, który nabyłby cerkiew, rozbił ją i przemieścił na ocean, aby tam zrekonstruował ją w oryginalnej formie.

—:—

„Amerykański Sokrates“

Ukazały się na półkach księgarskich „Szkice“ Ralfa Waldo Emersona w doskonałym tłumaczeniu i z komentarzami Andrzeja Tretiaka, z przedmową Artura Górskiego, nakładem zaś warszawskiego Instytutu Literackiego.

Kim był Ralf Waldo Emerson i co skłoniło wydawcę i tłumacza polskiego do przekazania jego „Szkiców“ czytelnikowi polskiemu?

Ralf Emerson ochrzczony już przez Mickiewicza „amerykańskim Sokratesem“ urodził się w roku 1802, jako syn kolonisty angielskiego z pod Bostonu, potomek Tomasa Emersona, który wspólnie z rodziną ratując wolność przekonań purytańskich i „jedność swego sumienia“ rzucił Anglię i poszedł na stałe wygnanie. Przodkowie Ralfa żyli w domach zbudowanych z nieobrobionych pni z oknami papierowymi napojonymi oliwą. Zgodnie ze swymi zasadami Emersonowie żyją z myślą o doskonalszych, czystszych celach, aczkolwiek dalecy są od jałowego kontemplatorstwa.

Dążenia te szły przeciw coraz mocniej rozpowszechniającej się w Stanach Zjednoczonych teadencji i kultowi pieniądza. Podupadłe wychowanie religijne kościoła anglikańskiego nie sprzyja życiu doskonałemu.

Toteż tem silniej uwytłaczano się na temle postać Ralfa Emersona, który już wcześniej mówi o sobie, że rolą jego jest „wskazywać uporczywie na życie idei, życie poświęcone, życie życia, na Boga zapomnianego, Przyczynę Nieznaną, w której poruszamy się i błądzimy“. A że nie jest to tylko myślenie oderwane od ziemi blakająca się po przestworzach abstrakcji, o tem świadczy wyznanie już podszłego wiekiem myśliciela, który oświadcza, że „moja metafizyka ma na celu działanie. Pragnę poznać prawa tej cudownej mocy, by ją użytkować. Jeżeli myśl - mówi Emerson - nie jest światłem dla roli i nie prowadzi do działań, to taka mądrość jest szaleństwem.“

Młody Ralf wzrastał w biedzie i niedostatku, pozbawiony opieki wcześniej obumarłego ojca - a pod wyłącznym kierownictwem matki. Zaaczną rolę w jego życiu odgrywa ciotka Ralfa zatopiona w Platonie, Plotynie, Marku Aurelim, Miltonie, Herdarze i innych.

Uniwersytet kończy Ralf w Harward pod Bostonem i zostaje pastorem, jednakże rychło młody umysł nie mogąc poddać się pod jarzmo kościoła anglikańskiego składa zdobyty urząd. Emerson rzuca się w wir prądów, jakie zaczynają w tym czasie wdzierać się do Ameryki za pośrednictwem pisarzy angielskich i francuskich znajdując swój wyraz w r. 1840 w perjodyku The Dial. Ten ostatni reprezentuje kantowski idealizm filozoficzny, który zastawszy w Ameryce resztki tradycji purytańskiej wyraża się w tendencjach reformatorskich zachęcony teorjami socjalnymi z Francji. Emerson między rokiem 1841 a 1860 wydaje szereg tomów: Essays, Representative Men, English Traits, Poems, Conduct of Life, a równocześnie przebiega Stany z odczytami.

Po r. 1872 Emerson przeniósł się do Europy i tu wydaje dalszy ciąg swoich książek: Society and Solitude, Letters and Social Aims, Miscellanies, a wreszcie Lectures and Biographical Sketches, Natural history of intellect oraz Diary ogłoszone już po jego śmierci. Z Europy wyjeżdżał co roku do Stanów, gdzie głosił słowo. Umarł w r. 1882. Nazwisko jego weszło do Halli Sławy w Waszyngtonie obok imion Washingtona, Lincolna, Franklina i Jeffersona.

Cóż łączy Emersona z Polską? Bylibyśmy może nigdy szerzej nie interesowali się tą postacią, gdyby nie fakt, że Mickiewicz w swoich prelekcjach w Collège de France wspominał często o myślach Ralfa Emersona. Po raz pierwszy wieszcz

polski zwrócił uwagę na niego wr. 1843 omawiając „Nieboską Komedję“ i przyznając, że nieraz w przyszłości przyjdzie mu powoływać się na zamorskiego myśliciela. I istotnie - jak pisze Górski - „Emerson staje się na czas jakiś jego (Mickiewicza) sprzymierzeńcem w poglądach na człowieka i życie“. Pusty i w niczem nie odpowiadający w tym czasie Mickiewiczowi Paryż był dla poety „miastem bez echa“. „W tych warunkach zjawisko Emersona stało się dla poety - myśliciela wydarzeniem wyjątkowym. Od pierwszej chwili powitał go Mickiewicz otwartą, przyjazną, dłońią i zaprzęgi siły, w pismach jego skupione, do głównego dzieła swego podjętego w tych latach na katedrze paryskiej i w kole Braci, do przebudowy struktury współczesnego człowieka i współczesnego życia. W wykładach ostatniego roku (1843/4) zapowiada, że dla wyjaśnienia tematów związanych z ideą odrodzenia religijnego (Biesiada) odwoływać się będzie z filozofów do Cieszkowskiego i Emersona“. Już wtedy jednak Mickiewicz mówi o Emersonie, że jego „człowiek nie ma ziemi pod nogami“,

unoszą się gdzieś - niewiadomo w jakiej dziedzinie“.

Miał pod tym względem pełną rację. Podczas gdy Mickiewicz - jak to słusznie zastawia Górski - „był indywidualnością skryzalizowaną, opartą o poczucie odpowiedzialności o olbrzymiej głębi... Emerson jest chaosem, mgławicą duchową, krążącą z zawrotną szybkością dookoła właszej osi zmiennej, nebulozą, która wessała w siebie wszystkie zagadnienia swego czasu, ale ich skupić około jednego środkowego punktu orientacyjnego nie zdołała“. „To, co stworzył, pisał i głosił - czytamy dalej - nie było filozofia, nie było wyznaniem wiary, nie było tworzeniem poetyckim, nie było pracą badawczą; było jednak tem wszystkim równocześnie, czemś swoistem i jedytem w swoim rodzaju. Były to erupcje sił duchowych, przechodzących do głosu i niepodzielnej jedności psychicznej, która wibrowała i mieniła się, nieustalona w szczegółach, ale potężna pewnością swego istnienia, swojej nad życiem zwierzchności. Głos ten starał się przywrócić rozdwojonemu i rozbitemu człowiekowi nowożytnemu

poczucie tej jedności, rzucał ulewę błyskawic w rozległe, milczące, mroczne obszary jego duszy, ponad systemy naukowe i filozoficzne, i ponad dogmaty soborów odwoływał się do poczucia prawdy.“

Nie osiągnął Emerson celu, i dzięki chotyczności swojej myśli i dzięki ich obcości wobec prądów, które w międzyczasie napływały. Sam świat jemu najbliższy sprzeniewierzył się Emersonowi i nie zwyciężyły jego myśli na ziemi Stanów i w duszach ludzi amerykańskich. Ralf Emerson pozostał odosobniony.

Jeżeli w 50 - lecie śmierci Emersona ukazał się w Polsce przekład jego „Szkiców“, jeżeli czytelnik polski będzie się w nie wczytywał to przedewszystkiem z powodu powłaowości duchowej, jaka zblizzyła „amerykańskiego Sokratesa“ do genialnego autora „Dziadów“, a przez to i nas niejako skłania do uczucia sympatii udzielanej ludziom tylko bliskim i spokrewnionym.

A równocześnie czytając myśli Amerykanina, pisane niemal sto lat temu będziemy mieli możność zmierzyć różnicę, a nieraz i głębię przepaści, jaka nas dzieli od tamtych, jakże duchowo odległych czasów

Kl. Hr.

Miasto ogrodów i zieleni

Słyniemy zupełnie słusznie we Lwowie z pięknych kobiet i wspaniałych ogrodów i parków. Nie bez podstaw tych dwu - jeśli tak wolno powiedzieć - osobliwości może Lwowowi zazdrościć cała Polska.

Lwów jest rzeczywiście miastem zieleni i ogrodów, jak żadne inne miasto polskie. Wystarczy spojrzeć na panoramę lwowską ze schodów Pałacu Sztuki na placu Targów Wschodnich, aby się przekonać, że Lwów tonie w zielonej krasie drzew, ogrodów, parków i wiosny. Dlatego jest tak piękny i tak musi go się kochać, jeśli ktoś wjedzie w jego rogatki.

Ogrody i plantacje zajmowały jeszcze zkońcem ub. stulecia tak to oddaje publikacja „Miasto Lwów w okresie samorządu 1870—1895“ - 98.83 ha ziemi, co czyni 168.4 morgów. Od tego czasu ilość zieleńców i ogrodów wzrosła po dziś dzień, tak, że można określić obszar zajmowany obecnie w mieście przez publiczne ogrody i parki (znajdujące się pod zarządem i opieką gminy) naokoło 100 ha. Jest to - przyznać trzeba - cyfra imponująca.

Posiada Lwów siedem głównych parków. I tak ogród miejski czyli pojezuicki (10.17 ha), Wały hetmańskie (1.26 ha), Wały gubernatorskie (3.05 ha), Wysoki Zamek (26.34 ha), park stryjski (47.61 ha), park Iyczakowski (8.40 ha) i świeżo bo w r. 1905 założony park na Żelaznej Wodzie.

Ogród miejski (pojezuicki) znajduje się w centrum miasta i tworzy równoległobok otoczony ulicami Marszałkowską, Mickiewiczą, Matejki, Kleińską i Kraszewskiego. Pierwotnie założony w stylu francuskim został w r. 1855 przekształcony na park, a następnie w r. 1881 przerobiony w dolnej swej części przed gmachem sejmowym. Ostatnia przeróbka ogrodu przypadła na rok 1886, kiedy zniesiono aleję będącą przedłużeniem ulicy 3-go Maja. W ogrodzie wznosi się pomnik Agnora Gołuchowskiego a naprzeciw ogrodu gmach b. Sejmu galicyjskiego pamiętający górne i chmurne dzieje b. dzielnicy austriackiej. Ogród pojezuicki pochłubił się może nie tylko bogatym ale i różnorodnym drzewostanem, wśród którego nie brak grabów, wierzbow, lip, modrzewi, tuji, jodeł, świerków, a z krzewów bzu czarnego, leszczyny, cybuszniku, pigwy, berberysu i t. p. Dzisiaj ogród jest za dnia terenem harców najmłodszej latorośli przeważnie semickiej, w niedziele

głównym miejscem rendez-vous świata kuchennego z reprezentantami szarż wojskowych poniżej starszego strzelca, a w nocy zdarzają się awantury i bójki wywoływane przez szumowiny. Ogród był w r. 1918 terenem zaciętych walk polsko-ukraińskich, których ślad długo pozostawał na murach gmachu posejmowego i pobliskiej poczty głównej.

Wysoki Zamek składa się z dwu części: z tarasu i ze wzgórza płaskowego, na którym wznosi się słynny w całej Polsce kopiec Unii Lubelskiej, dzieło i inicjatywa Franciszka Smolki. Stąd rozlega się wspaniały widok na miasto z trzech stron, a z czwartej - północnej - na obszerną równinę i wsie, ongiś tereny zaciętych walk z Tatarami i Turkami. W r. 1883 w 250-letnią rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem na tarasie Wysokiego Zamku ustawiony został pamiątkowy głaz. Kopiec Unii Lub. rozpoczęto wznosić w dniu 11 sierpnia 1869, niebawem zatem przypadnie 64-lecie tego dnia. Cały Lwów, wszystkie jego stany brały udział w budowie tego pięknego pomnika, który urosł na 128 metrów ponad poziom lwowskiego rynku. Z kopca rozciąga się niezapomniany nigdy widok: można stąd oglądać wzgórze złoczowskie, Białego Kamienia, Podhorzec, Winnik i stryjskich Karpat, a tuż pod kopcem cały Lwów, jak na dłoni Domek ogrodnika na Wysokim Zamku pochodzący z roku 1868-go, restauracja zaś z r. 1845. Kto chce zasmakować w prawdziwych, wiecznie przez cały rok „majowych“ preclach lwowskich - ten winien kupić i spożyć je tylko na Wysokim Zamku.

Na miejscu dawnych obwarowań Lwowa znajdują się Wały gubernatorskie, sięgające od wschodu po mur klasztoru P. P. Benedyktynki i S. S. Miłosierdzia czyli do stoków Wysokiego Zamku. Dziś dosyć zaniedbane - mimo sąsiedztwa gmachu wojewódzkiego - stanowią teren spacerów i spotkań najmniej wybrednej części publiczności. Obok stara bazyła prochownia z r. 1555 woła o zmiłowanie i doprowadzenie jej do porządku, aby nie była wstydem miasta.

Tuż za rynkiem ciągną się Wały hetmańskie założone w r. 1777 przez v. Reitzenheima, a hetmańskimi nazwane od pomnika hetmana Jabłonowskiego, który znacznie później przeniesiony został tu z podwórza gmachu sądowego, a obecnie znajduje się na

pl. Trybunalskim. Na wałach hetmańskich króluje zaś dziś wspaniały pomnik Króla Jana III., z poza którego widać w perspektywie imponujący gmach Teatru Wielkiego. W latach 1888—1890 po przesklepieniu nieszczęsnej Pełtwi założono na Wałach hetmańskich plantacje oraz aleje. Dzisiaj są one zbornym punktem giełdy pracy, czarnej giełdy, szumowin podmiejskich, które ściągają do centrum miasta w najrozmaitszych celach. Tutaj też koncentruje się najsilniejszy ruch uliczny dzięki biegnącym wzdłuż Wałów i przecinającym się koło „Wieśdeńskiej kawiarni“ głównych arterji ulicznych.

Park Iyczakowski jest stosunkowo młody. Powstał w r. 1884 na piaszczystych wydmach i dla dogodzenia, oddalonym wtedy od miasta mieszczuchom przedmieścia Iyczakowskiego. Dzisiaj park rozwinął się bardzo pięknie, tworzy jeden z najmilszych zakątków Lwowa.

Cichym, choć dość odległym jest również najmłodszy park na Żelaznej Wodzie.

Wspomnieć wreszcie należy o parku Wiśniowieckiego na Kleparowie założonym w r. 1895 i ogrodzie Strzelniczy Miejskiej przy ul. Kurkowej nabytym jeszcze w r. 1775 przez kompanję strzelców milicji miejskiej.

Ale najpiękniejszym i najwspanialszym parkiem Lwowa, jego chluba i dumą, jego zdrowiem i płucami jest park stryjski nazywany również parkiem Kilińskiego. Dzięki konfiguracji terenu, świeżości powietrza, doskonałemu utrzymaniu, naturalnemu wyglądowi, rozległości aleji - jest park stryjski najpiękniejszym ogrodem nie tylko Lwowa, ale i całej Polski. Nie zna Lwowa ten, kto będąc tu nie przeszedł parku Kilińskiego. Dzisiaj nabral on tem większego ożywienia, że tuż nad parkiem znajduje się teren Targów Wschodnich. Po drugiej stronie biegnie gościniec stryjski, ożywiona i zna komita trasa automobilowa.

To też Lwów - jak wspomnieliśmy na początku może być dumny ze swoich ogrodów, a jeśli Wasylewski pisał o nim krótko, że „Lwów - zdrowie“, to zdrowym, wesolym i zawsze młodym jest Lwów przedewszystkiem dzięki swoim przeslicznym ogrodom publicznym.

Kl. Hr.